Rok 1898. Lwów, dnia 27. czerwca. Nr. 25.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

POEZJE

Podróż.

Pędzimy w świat po wielkiej i czarnej równinie.
Koło okien kłąb dymu, usiany iskrami,
Sunie jak wąż w konwulsjach nim się w noc [rozpłynie,
Jak szary tuman życia przetykany snami.

Pędzimy w świat, równina zostaje za nami.
Zda się być wielką rzeką co z łoskotem płynie,
A w tej rzece potwory błyskają skrzelami
I z rykiem przepadają w ruchomej głębinie.

Pędzimy w świat, — czy światy nas mijają czarne
Nieznane, nieprzeżyte, łyskające skrami
Chwil radości, upojeń siejąc brylantami?

Kto wie, czy całe życie tak długie tak marne
Tyle iskier czerwonych ze siebie wyzionie
Co w tem morzu nieznanem przez chwilę za- [tonie?...

Przed burzą.

Las cicho stoi. Zwieszone gałęzie
Maczają końce w oparze zapachów
Co się kłębami z traw i ziół podnosi
I pełza ciężko po pniach starych dębów.

Wąż mrówek pełza po suchym konarze
Tysiącem nóżek drażni dębu nerwy.
A on zieloną głową ciężko chwieje...
Czy śpi, czy zmarła stara dębu dusza?

Przez słońce biegną szybko szare chmury
I żółte w trawę rzucają połyski;
Kwiaty chowają oczy oślepione
I myślą z trwogą czy przeżyją burzę...

Niebo ciemnieje i powstają szmery
Z łąk się cisną spłoszone owady do lasu...
Jak łan zboża faluje kołysany wiatrem,
Tak się w dali las chwieje. Tutaj jeszcze cisza...

Rytm.

W długich pokosach leżą żółknięjące
I kłęby woni rzucają w powietrze
Dziennych rozmarzeń kwiaty więdniejące
Na cichym, ciepłym, przedwieczornym wietrze.

Płynie od morza bezmiernych roztoczy
Głos odmawianych wieczornych pacierzy
Natury złotej, co różowa leży
I ma owiane mgłą przedsenną oczy.

Cicho. Przez ciszę płyną szmerów wstęgi
I dotykają drżącą piersią piasków.
Na tle ostatnich przedzachodnich blasków
Jaskółki niskie zataczają kręgi...

Naśladowanie z Baudelaire'a.

Tak cicho i niewinnie, jak dziecko w kołysce,
Chciałbym skonać bez spazmów i bez cierpień [wielu, —
Nachyl twą skroń nademną Skonie-Przyjacielu,
Zgaś twojem zimnem tchnieniem mego życia [zgliszcze...

Na popiołach wyciśnij twojej dłoni znaki.
Pax... Odpędź czarne stada co krążą nademną!
Och, tak mi od ich skrzydeł w duszy strasznie,
[ciemno,
Słońce mi zasłaniają te drapieżne ptaki!

Niech zgasnę jak ognisko co tliło i tliło
Aż się na biały popiół całe wypaliło...
I tylko pod niebiosa żaru bucha fala,
A ludzie i szakale przemykają zdala!

Ojczyzna.

Rzuciłem kamień u przesmutnych brz gów
Od których żadne światełko nie błyska...
To kraj gdzie w cieniu drzemią trzęsawiska
Gdzie nie stanęła nigdy stopa zbiegów.

Gdzie tylko wiatr, w ciemności, igrzyska
Dla pustki daje, gdzie nie ma noclegów,
Ślad nóg nie plami białej tafli śniegów
I żadnych zmarłych ziemia nie uciska...

To kraj przez oręż nigdy nie zajęty,
To kraj na szmaty nigdy nie rozdarty,
Kraj wolny, w ciszy głuchej rozpostarty;
Jak kir na trumnę cicho padł i drzemie.

Mój żagiel pierwszy cień na śniegi ciska
Pierwsza ma noga grzęźnie w trzęsawiska
Ja dzisiaj w duszy odkryłem tę ziemię...

Strach.

Wkłada się całe życie
W jakieś dzieło.
I całe serca bicie,
By stanęło.
A kiedy stoi wielki gmach
Wślizga się w mury blady strach
I drwi.

Widziałem raz Chrystusa; na krzyżu rozpięty,
Patrzył na świat pod stopy swemi rozwinięty.
I teraz wiem, dlaczego słyszano wołanie,
Czemużeś mię ach czemu opuś ił o Panie!

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Na to zapytanie ciotka nie odpowiedziała odrazu, lecz popatrzyła uważnie w oczy Malwiny. — Nie wierzę w to, ani nie przypuszczam, — rzekła — ażebyś go mogła pokochać.

— I dlaczegoż to cioteczko? — zapytała Malwina.

— Nie wierzę w to moja, kochana, dlatego, że gdyby tak być miało, byłabyś go pokochała wówczas, gdy cię o tę miłość błagał, gdy był wolny i serce ci ofiarował, a tyś go, moja Malwińciu, — pamiętasz — wyśmiała. Czyżby się dopiero teraz serce w tobie dla niego obudzić miało? — Wybacz, moja kochana, ale nie mogę w to uwierzyć.

Czemu? — powiadają, że miłość rozmaitemi chodzi drogami.

— Tylko bez sofizmatów — moja Malwino — odparła ciotka z powagą. I powiem ci więcej, gdyś sama wywołała dysputę, że nie wierzę, tem bardziej, iż jestem przekonaną, że ty Malwino nie mogłabyś, nie umiałabyś nikogo pokochać; dlatego pozwól sobie powiedzieć to co ci teraz powiem, a mówię zupełnie na serjo, że zachowanie się twoje było niewłaściwe, i jeżeli nie będziesz słuchać głosu rozsądku, który przez usta moje do ciebie przemawia, źle na tem wyjdziesz.

Powaga, z jaką ciotka ostatnie wyrazy wymówiła, skonsternowały nieco Malwinę. Zamilkła, porzuciła ton lekki i drwiący, z jakim dotąd z ciotką rozmawiała i przybrała znowu ten dumny wyraz, który jej nadawał pewien majestat królewski, jakim imponowała wszystkim, a w pierwszym rzędzie swoim wielbicielom, którzy się o jej względy ubiegali. Ażeby przerwać niemiłą sytuację, wywołaną odezwaniem się ciotki, wzięła ze stoliczka książkę i poczęła przerzucać kartki, niby czytając. Myśli jej jednakże odbiegły daleko od książki i od ciotki, która dłubała dalej koło robótki. Wspomnienia o minionej nocy balowej i o Albinie, wywołane teraz świeżo, wirowały w jej głowie. Bawiła się niemi, jak dziecko zabaweczką, którą dziś dostało i którą jutro popsuje i odrzuci. Bawił ją taksamo pogardzony przez nią dawniej Albin, który teraz, gdy już stracił zupełnie nadzieję posiadania jej, jak pokorny sługa do niej się zbliżał. Bawiło ją to, że ta, którą wybrał za dozgonną towarzyszkę życia, nie była w stanie zupełnie wyrugować ją z jego serca i pamięci.

Serca? — Działanie tego organu na uczucia człowiecze, nie było znane Malwinie dotychczas. Czytała o niem wiele w romansach francuskich, słyszała o niem od ludzi, wielbiciele jej powoływali się prawie zawsze na to serce, ale ona o niem nic nie wiedziała, i ciotka nie myliła się bardzo, posądzając ją o brak tego organu. Nie miała zresztą czasu wśród ciągłych zabaw i rozrywek myśleć o tem, i jeżeli sobie czemś myśli zaprzątnęła, to na bardzo chyba krótko, na tyle, ile było czasu od jednej zabawy do drugiej.

Zmysły?... te działały na nią więcej. Podniecane hołdami i pochlebstwami, składanemi jej przez roje satelitów salonowych, były u niej w ciągłym ruchu. Działanie ich na nią, miało czas przytłumić w niej pragnienia serca, żyła tylko niemi i to jej zupełnie wystarczało. Ale i tu nawet było w niej coś takiego, co udzielało się drugim, u niej zaś przechodziło bez głębszego wrażenia. Była to jednem słowem jedna z tych natur, które szatańskie mają zadowolenie w drażnieniu i dręczeniu drugich, doprowadzających drugich do szaleństwa, a chroniących siebie samych murem nieprzystępności. Dzięki tej, dzikiej, rzec można, naturze, na jej reputację dziewiczą żaden cień nie padł dotychczas, choć miano kokiety dawno do jej imienia przylgnęło. Gniewano się na nią, przeklinano ją, bito się o nią, a mimo to wszystko nikt nie mógł jej niczego zarzucić, prócz kokieterji, do ostatnich granic posuniętej.

Słowa ciotki, acz zupełnie prawdziwe, zgniewały Malwinę. Po raz pierwszy może w życiu, przy przerzucaniu kartek romansu, obudziło się w niej pragnienie zastanowienia się nad tem, o ile ciotka miała słuszność, strofując ją w ten sposób i uderzając w strunę jej drażliwości. Poczęła w myśli przechodzić po kolei tych, którzy jej serce i rękę ofiarowali... Przeszła ich dość szybko, upatrując w nich te same wady, jakie przed ciotką wyliczała, aż myśl jej stanęła na Albinie.

Nie miała mu nic więcej do zarzucenia, prócz tego, że był za młody dla niej wówczas, gdy jej gorącą, namiętną miłość ofiarował. Czy był istotnie za młody? — A przecież chyba tak nie było, skoro się ożenił. Gdy głębiej sięgła w przeszłość, przyznać musiała, że ten Albin przecież szczerzej i gorącej ją kochał, niż ta cała nadskakująca jej rzesza. On nie przestał ją i teraz kochać. Tak! była tego zupełnie pewną, a myśl o tem wydała jej się teraz czemś tak przyjemnem, że opuściła książkę na kolana i przymknęła oczy, ażeby jej to wspomnienie z przed oczu nie uciekło.

Wniesiono herbatę i kroki służącego obudziły ją z zadumy. Jakby się zawstydziła własnych myśli, powstała szybko i usiadła przy ciotce, starając się poprawianiem ręką fryzury ukryć pomięszanie, którego nie chciała przed ciotką okazywać. Ciotka także, istota łagodna i cicha, a w dodatku zależna zupełnie od majętnej siostrzenicy, nie chciała naruszać przerwanej choć niedokończonej rozmowy, która, spodziewać się należało, dla obojga nie byłaby przyjemną. Siedziały więc obie kobiety milcząc i nie odzywając się do siebie. Przykre to było milczenie. Było im jakoś dziś nieswojsko i obie były bardzo zadowolone, gdy herbata znikła ze spodów filiżanek.

Było już dość późno i ciotka pierwsza przerwała milczenie, zapytując Malwinę, czy nie czuje zmęczenia.

— Tak cociu! — jestem bardzo zmęczoną — odpowiedziała Malwina, rada, że nadchodzi pora rozstania, na którą czekała, a odejść nie mogła przez wzgląd na ciotkę.

— Dobranoc ci, moje dziecko — odparła ciotka, całując ją w czoło z czułością i z lekkiem westchnieniem, jakby z żalu nad siostrzenicą, że musiała jej gorzką prawdę powiedzieć. Odeszła do swego pokoju, a Malwina zniknęła za chwilę idąc powoli, za kotarą, zawieszoną u drzwi panieńskiej sypialni.

Znalazłszy się za drzwiami swego budoaru, Malwina odetchnęła pełną piersią. Była tu nareszcie sama, wolna od obecności ciotki i jej morałów. Choć przed nią udała znużenie, nie była wcale zmęczoną. Życie jakie wiodła, wypełnione zabawami, dało jej czas przyzwyczaić się do niewywczasów, jak pijak przyzwyczaja się do trunków. Bardziej nużył ją odpoczynek od zabawy, wyspała się zresztą w dzień dostatecznie i choć łóżko puchowe samo zapraszało do spoczynku, ani nań nie spojrzała, Rzuciła się na krzesło, stojące przed małym stoliczkiem, na którym stało nagromadzonych w nieładzie mnóstwo przeróżnych gracików i splotłszy ręce na kolanach, siedziała nieruchomo.

Myślała. O czem? — O wszystkiem; rozbudzone rozmową z ciotką wspomnienia snuły się po jej główce szeregiem jedne za drugiemi. Musiała je dopiero szykować jedne koło drugich, aby dójść do ładu. Odbijały się one na jej twarzy, bo raz brwi gniewnie ściągały się nad oczyma, to znowu uśmiech ironiczny skrzywiał jej usteczka; raz tylko lekko westchnęła i jakby się sama siebie zawstydziła za to westchnienie, poruszyła się, a ręce jej poczęły przerzucać graciki ustawione na stoliczku, jakby rozerwać chciała tem myśli, które się jej w tej chwili nasunęły do głowy.

W tem ręka jej potrąciła o małą książeczkę w czerwonej aksamitnej oprawie, wypłowiałej z latami i wyszarzanej na brzegach. Machinalnym ruchem wzięła ją do ręki i otworzyła. Zaraz na pierwszej kartce zatrzymało się jej oko, i nigdy może romans francuski tak ją nie zaciekawił, jak w tej chwili ta mała książeczka. Był to pamiętnik, sięgający jeszcze tych czasów, gdy jako pensjonarka opuszczała pensję. Koleżanki jej wpisywały jej tam na pożegnanie mniej lub więcej naiwne wierszyki. Poczęła je przeglądać po kolei, przywołując na pamięć przy tej sposobności różne wspomnienia, i gdy tak szła kartka po kartce, robiło jej się dziwno. Prawie wszystkie, ile ich tam umieściło swe wiersze i podpisy, były to już same kobiety zamężne, niektóre z nich na mogiłkach spoczęły, a ona?...

Na to wspomnienie twarz jej przybrała wyraz posępny. Ze złością przerzuciła parę kartek pustych i zatrzymała się nagle na jednej. Nie był to charakter kobiecy, którym była zapisaną. Ze zdziwieniem patrzyła Malwina na te litery, które jej dawno wyszły z pamięci. Prawdę powiedziawszy, niepamiętała o nich nigdy, nie popatrzyła na nie nawet wówczas, gdy były wpisane, bo stało się to w jednej z chwil przelotnego jej kaprysu. Teraz dopiero zebrała ją chętka do przeczytania tych wyrazów. Schyliła się nad książką i odczytała od pierwszej do ostatniej litery. Było to gorące wyznanie miłości, płomienny sonet, nakreślony ręką Albina i przez niego podpisany.

Przeczytała go raz i drugi, jakby go się na pamięć wyuczyć chciała i nie mogła sobie darować, że nie wzięła ją chęć przeczytania tego wiersza dawniej. Nie posądzała nigdy tego młokosa, jak go była przywykła nazywać, o to, ażeby tymi wyrazami umiał przemawiać do dziewczyny i żal ścisnął jej serce, gdy pomyślała, że mu krzywdę wyrządziła ongi, stawiając go w równym rzędzie z tą całą zgrają nadskakujących jej lalek salonowych.

Wzruszenie to trwało jednak krótką chwilę. — Co się stało, przepadło i nie warto się zajmować przeszłością, — tak pomyślała, ale mimoto ta przeszłość przywołała jej na pamięć te czasy, kiedy mogła była pokochać i być kochaną...

Pokochać? — roześmiała się sama do siebie — kogo?— Wszak ona dotąd nikogo nie pokochała, nie przylgnęła sercem silniej do żadnego mężczyzny, a i między kobietami, rówieśniczkami swemi, niemiała nikogo, dla której by serce jej żywiej zabiło. Mówiono przecież, że nie ma serca, sama jej najbliższa istota, ciotka, o brak serca ją stanowczo posądziła. Sama zresztą była przekonaną, że nie kocha i nie pokocha nikogo. Była egoistką i kochać nie mogła nikogo.

Być kochaną! — Na tę myśl rozpogodziło się jej oblicze. Tak! być kochaną, nie kochając sama. Trafiało to do

jej egoizmu. Przecież to nie obowiązuje do niczego, a wypełni tę pustkę w jej życiu, jakiej nie zapełniały te wszystkie huczne i hałaśliwe zabawy, które, zdawało się jej, że dotąd wystarczały. Tak, wystarczały, póki w jej uszach dzwięczały namiętne tony walca, póki szmer szeptów wielbicieli, jak woń kadzideł, upajały ją, oszołomiały na chwilę. Gdy zcichły tony muzyki, gdy przebrzmiały echa szmerów uwielbienia dla jej królewskiej postaci, gdy znalazła się sama wśród czterech ścian swego budoaru, natenczas bezdenna próżnia, pusta jak jej serce, trwożyła ją i napełniała goryczą, której nie mogły osłodzić dostatki i byt niezależny, wśród jakiego żyła.

Ale mimo tych pragnień, nie chciała i nie mogłaby związać się na całe życie z kimś, kogo by musiała może pokochać. Chciała być tylko kochaną i niczego nie dać w zamian za tę miłość gorącą, któraby mężczyznę do niej przykuła na wieki.

Gdy jednak nad tem czasami myślała, sama myśl o tem przerażała ją, bo wiedziała, że coś takiego przeciwne jest zapatrywaniom świata, i nietylko tego, w którym żyła i w którym się obracała. Dotąd nazywano ją kokietą, nie gardzono nią co prawda, ale nie pochwalano jej postępowania. Jakby ją nazwali, gdyby poszła o krok naprzód? Cała jej kokieterja ograniczała się teraz na sali balowej i na zabawach, na zdobyczach chwilowych, poczynających się i kończących na konwenansach, rzucanych jak zdawkowa moneta, na półsłówkach wypowiadanych w wirze walca lub z za rąbka wachlarza. Dotąd jej to wystarczało. Dlaczego dziś, właśnie dziś, po spotkaniu się z dawniej pogardzonym Albinem, zapragnęła czegoś, co jej nie było dozwolonem, co sama tak długo odpychała od siebie.

Pragnęła być kochaną. — Gdy pomyślała o tem wszystkiem, co się tamtej nocy stało, gdy teraz mimowolnie przeczytała te wiersze, na które przedtem ani uwagi nie zwracała, gdy sobie uprzytomniła pomięszanie Albina przy pierwszem na balu spotkaniu, nie miała więcej wątpliwości, że jest kochaną i to kochaną przez takiego, który jej egoizmu w niczem nie dotknie, bo sam związany już jest na całe życie z inną kobietą.

I myśl o tem, że inna kobieta zabrała jej to, co wprawdzie odrzuciła, ale co do niej, jak jej się teraz zdawało, należeć było powinno, ta myśl, że inna jest przy boku Albina szczęśliwą, obudzała w duszy Malwiny zazdrość szaloną. Nienawidziła tę kobietę od pierwszej chwili gdy ją ujrzała, teraz nienawidziła ją jeszcze bardziej, gdy przekonała się, że Albin ją kochał.

Czy kochał i tamtę, i jak ją kochał? Oto pytanie, jakie sobie postawiła teraz, gdy była sama z myślami. Jeżeliby ją kochał silnie i gorąco, tak jak Malwinie miłość swą wyznawał, gdyby był o niej zapomniał zupełnie, czyż byłby przyszedł tylko dla niej, czyż byłby opuścił tamtę na godzin tyle, jedynie dlatego ażeby ją zobaczyć? — A więc kochał ją jeszcze, jeszcze o niej nie zapomniał i to ją uradowało.

Daleką była od tego, aby go za to pokochać, ani myślała się nad tem zastanawiać, co dalej pocznie z tą sprawą. Było jej bardzo dobrze z tem, że jest kochaną; cieszyło ją to, że Nina nie sama jedna władnie sercem Albina, że dzielić się musi uczuciami jego z nią, której jawnie niechęć okazała. Jednocześnie przyszły jej na myśl słowa ciotki, że na niebezpiecznej znajduje się drodze. Ach! — wszakże nic się jeszcze nie stało. A gdyby?...

Jakby sama ze sobą w rozterce była co do tego „gdyby“ — Malwina powstała i poczęła się rozbierać. Późno już było, ciotka już spała oddawna i ani jej się może śniło o tem, co przechodziła o tej porze jej siostrzenica i na jaką drogę wstępowała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GUSTAW MANTEUFFEL

PIERWIASTKI CYWILIZACJI NAD DOLNĄ DŹWINĄ.

Ciąg dalszy.

III.

O artyźmie tubylców nie może być mowy. Odgrzebywane w miejscowych wykopaliskach sprzęty ówczesne i broń nie są ich wyrobem, jak to obecnie już najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nawet na najprostszych narzędziach ówczesnych łatwo dziś udowodnić obce ich pochodzenie; o czem przekonywa choćby tylko baczniejsze zwrócenie uwagi na rodzaj kamienia, z którego są wyrobione.

Wały ziemne i nędzne lepianki z gliny, słomy i drzewa — oto wszystko, co stworzyć umieli miejscowi mieszkańcy. To też każda, chociażby najzwyczajniejsza budowa kamienna, wydawała się naszym tuziemcom sztuką nie lada.

Sztuka właściwa wkracza tu dopiero w XIII-tem stuleciu. Dokument z roku 1211 zawiera dokładne określenie monety wybijanej pod rządem biskupa Alberta I. W roku 1253 wykonane zostały w Rydze bogate korony dla króla litewskiego Mendoga i jego małżonki Marty; z roku 1360 istnieje ustawa złotników ryskich, z której wnosić należy, iż ta gałąź przemysłu artystycznego już w owym czasie bardzo tu była rozwinięta.

Lecz rozpatrzmy się najprzód w najdawniejszych szczątkach tu pozostałych z zakresu sztuki budowniczej.

Przedewszystkiem wypadnie zwrócić uwagę na kościół w roku 1185 w Ykskul wzniesiony, którego fundamenta dochowały się do dni naszych i tworzą podłużny czworobok. Kamieniarze i murarze, co tę budowę wznosili, pochodzili z Gotlandji.

Wielkie znaczenie w historji budownictwa inflanckiego miało założenie Rygi w roku 1202, a także Djamentu, którego gmachy w r. 1208 całkowicie ukończone zostały pod dzielnem kierownictwem mnichów Cystersów. Rygę opasano niebawem silnemi murami, za którymi

wzniesiono kościoły, klasztory, odpowiednie mieszkania dla biskupa i kapituły, tudzież zamek kawalerów mieczowych zwany *Jürgenshof*. Przypuścić należy, iż początkowo w granicach opasanych wałami miejskiemi budowano z drzewa tymczasowe kościoły i budowle, zastąpione później murowanemi.

Szczątki z czasów dawniejszych — jako to: kościoła św. Jerzego, św. Katarzyny i innych — zostały ostatnimi czasy odkryte i przekonywują nas, iż w owym czasie panował tu styl romański, w którym to stylu i tum ryski, ów najdawniejszy pomnik architektury nadbałtyckiej, pierwotnie był wzniesiony, jak tego dowodzą niewątpliwie: zakończenie presbiterjum o trzech absydach z zasklepieniem w ćwierćkulę i kształtnych pilastrach połową swej grubości w ścianę wpuszczonych, olbrzymi krużganek, ciągnący się w czworobok i oświetlony otwartemi akardami od strony wewnętrznego wirydarza, a zdobny w rzeźby cechujące wyraźnię epokę romańską. Był to atoli styl romański przejściowy, czyli tak zwany styl romańsko-gotycki, a ów styl przejściowy zastąpił tu w kolejach czasu ostrołuk, t. j. gotyk właściwy. To też kraje tutejsze przeżyły wszystkie okresy stylu gotyckiego, a mianowicie wczesną, średnią i późniejszą jego epokę.

Miał tu gotyk do zwalczenia niezwykłe trudności techniczne. On, którego głównym materjałem jest przedewszystkiem piaskowiec krzemionkowy, zastawszy nad Bałtykiem sam tylko granit do jego stylu niewiele przydatny, musiał się ograniczać przeważnie na materjale ceglanym i wyrzec się silniejszych profilów, delikatniejszych światłocieni, oraz rzeźbionych zdobin wewnętrznych. Pomimo tak dolegliwego braku, tworzono tu jednak ze skromnych cegiełek liczne ornamentacje zewnętrzne, które u głównej facjaty kościoła św. Jana w Dorpacie i dotąd znawców w zdumienie wprawiają. Tu i ówdzie używano do tych ornamentacji także sprowadzanego zdala piaskowca.

W Rewlu, dokąd piaskowiec krzemionkowy i kamień wapienny łatwiej można było dostarczać, zewnętrzne zdobienie dawnych kościołów nierównie jest bogatsze. W przebudowanym tu na początku bieżącego stulecia kościele św. Olawa *) widzimy i dotąd na zewnętrznych przyporach w ścianach wschodniej części gmachu, mnóstwo misternie rzeźbionych baldachów gotyckich z wieku XIII., a pod nimi wystające u ściany niemniej piękne z kamienia rzeźbione konsole, czyli podstawki, z czego oczywiście wnosić należy, że niegdyś każdą z tych licznych podstawek zdobić musiał posążek jakiegoś świętego lub świętej, albo też grupy rozmaitych postaci z historji biblijnej, jak je widzimy na wspaniałym ratuszu w Lowanium (Louvain).

Co do Rygi, najbardziej się tu nadbałtyckie budownictwo wysiliło na wzniesienie tumu czyli katedry, rozpoczętej już w roku 1215, a której plan wykazuje niewątpliwie podobieństwo wielkie do katedralnych kościołów w Segebergu, Ratzeburgu i Brunświku.

W tych katedrach, tak jak i w tumie ryskim, dodano nawy poboczne w czasie wszechwładnego panowania ostrołuku. We wspomnianym już wyżej krużganku tumu ryskiego, pod grubą warstwą narzutki dochowały się szczęśliwie aż do naszych czasów konsole romańskie z pierwszej połowy XIII. stulecia, podpierające łuki sklepienia.

Wspaniały pomnik dawnego ostrołuku (aczkolwiek w wieku XV. w wielu częściach przebudowany a w wieku XVIII. nader niekorzystne przekształcony) przedstawia kościół farny św. Piotra w Rydze. Starano się tu oczywiście zatrzeć pierwotne wrażenie, które ta niegdyś wspaniała świątynia za czasów katolickich wywierać musiała. Atoli w doskonałych proporcjach wnętrza, w wysmukłych filarach — których podżebrza o pięknych profilach, pionowo rozgałęziają się u góry i przechodzą w żebra lekkich ostrołukowych sklepień — pozostało i do dni naszych niczem nie dające się zatrzeć arcydzieło dawnego mistrza architektury gotyckiej.

Budowę głównej części kościoła św. Jana w Rydze odnieść należy do pierwszej połowy XIII-tego stulecia. Wprawdzie wieża oraz sklepienia nawy środkowej w wieku XV znacznej zmianie uledz musiały, atoli wszystkie inne części starożytnego gmachu i całość jego, noszą na sobie i dotąd jeszcze jawną cechę epoki przejściowej od romanizmu do gotyku.

Słynna katedra założona w Dorpacie w wieku XIII, lubo obecnie stanowi tylko ruinę, zachwyca dotąd swemi przecudnemi kształty. Układ jej, przypominający wzory francuskie i system wedle jakiego ją budowano, wskazują niewątpliwie, iż ta wspaniała świątynia później niż w roku 1224 wzniesioną została, pomimo iż badacze miejscowi najczęściej ten rok jako rok jej założenia wskazywać zwykli. Wszystkie tu wspomniane kościoły były w swoim czasie prawdziwemi siedliskami sztuki. Znajdowała też ona schronienie w licznych klasztorach tutejszych, z których po większej części nie zostało już kamienia na kamieniu.

Nie potrzebujemy powoływać się na dokumenty lub wyciągać wniosków o wewnętrznym przepychu dawnych kościołów i klasztorów nadbałtyckich z zapisów i legatów na nich czynionych i t. p. Przetrwało bowiem w Rewlu aż do dni naszych, niemniej jak pięć wspaniałych ołtarzy szafiastych, z dwoma bocznemi skrzydłami, do otwierania i zamykania części środkowej. Z liczby tych cennych tryptyków cztery sięgają bezwarunkowo XV stulecia. Każdy z nich stanowi dzieło sztuki ze względu na umieszczenie na nim malowidła i zdobiące go rzeźby przepyszne, a najczęściej łączą się tam w jedną piękną całość malarstwo i rzeźba.

Nawet my, Inflanczycy (a tem mniej mieszkańcy innych prowincji i dzielnic), nie zawsześmy o istnieniu tych cennych pomników sztuki katolickiej coś zasłyszeli, a o mistrzach, którzy je wykonywali, częstokroć nawet i ze słychu nic nie wiemy.

A jednak istnieją pomiędzy temi zabytkami dzieła sztuki, które, jeśliby się znajdowały we Francji, w Belgji lub Niemczech, ściągałyby z pewnością znawców i zbliska i zdaleka, że tylko wspomnę o wielkim ołtarzu w pobocznej kaplicy kościoła św. Mikołaja w Rewlu, podziwianym słusznie przez nielicznych artystów, jakich w porze kąpieli morskich los tutaj od czasu do czasu zanosi.

Ołtarz ten szafiasty, z dwoma skrzydłami, mieści w części środkowej wspaniałe dzieło średniowiecznej sztuki rzeźbiarskiej, złożone z 32 większych i 36 mniejszych postaci świętych ze Starego i Nowego Zakonu.

---

*) **Kościół ten pierwotnie był wzniesiony w roku 1267 i posiadał wieżę wyższą od strasburskiej. Wysokość jej dzisiejsza sięga atoli zaledwie 138,3 metrów.**

To wnętrze tryptyka przypomina poniekąd wielki ołtarz w kościele Panny Marji w Krakowie; na taflach zaś jego skrzydeł znajduje się 8 malowideł, z których każde stanowi cenne dzieło sztuki z pierwszej ćwierci XV wieku.

Przed mniejszym ołtarzem w tejże kaplicy kościoła św. Mikołaja, oraz przed ołtarzem mylnie zwanym św. Brygidy, przechowywanym starannie w domu „Czarnogłowców rewelskich" *(Compagnie der Revaler-Schwarzen-Häupter)*, zatrzymują się z prawdziwym zachwytem nawet i tacy malarze-artyści, którzy zwykli gardzić częstokroć istotnie zbyt konwencjonalnemi formami malarstwa i rzeźbiarstwa owej epoki gotycyzmu.

I ten ołtarz jest szafiasty. Składa go aż 11 malowideł, wykonanych na drzewie, z których jedno piękniejsze od drugiego, kilka z nich są malowane na tle złotem. Na zewnętrznej stronie skrzydeł tego cennego tryptyku przedstawionem jest Zwiastowanie Najświętszej Panny. Zewnętrzną część skrzydła lewego zajmuje archanioł Gabrjel z tradycyjną lilją w dłoni, takąż część prawego — urocza postać Najśw. Panny w postawie klęczącej.

Po otworzeniu tryptyku, przedstawiają się oczom widza cztery malowidła. Na wewnętrznej stronie skrzydła uderza powagą postać kobieca w zielonej szacie z piersią po części obnażoną. U stóp jej klęczy 15-tu młodzieńców, zatopionych w gorącej modlitwie, a wszyscy twarzami są obróceni ku środkowej części tryptyku, z dwóch innych malowideł złożonej. Jedno z nich dziwnie idealnie przedstawia mękę Chrystusową, drugie — Trójcę Przenajświętszą. Na wewnętrznej stronie prawego skrzydła tryptyku — poważna postać męska w szacie z sierści wielbłądziej, u bioder przepasana pasem skórzanym, trzyma w prawej ręce księgę, na której spoczywa baranek. U stóp tej męskiej postaci znowu 15 modlących się niemniej gorliwie młodzieńców, obróconych również ku środkowej części ołtarza. Mężem tym jest oczywiście św. Jan Chrzciciel, księga jego — to ewangelja, a baranek — to „Baranek Boży". Kobieta zaś w zielonej szacie, o piersi po części obnażonej, przedstawia symbolicznie Kościół święty, karmiący wiernych mlekiem słowa Bożego. Najbardziej zachwyca znawców wyraz pobożności świecący ze wszystkich 30 młodzieńczych twarzy, z których wszakże każda inny ma charakter. Są to bezwątpienia podobizny fundatorów wspaniałego tryptyku. Część jego środkowa daje się raz jeszcze otworzyć. Otwarta powtórnie przedstawia dalszych pięć malowideł.

W środku tronuje Bogarodzica z dzieciątkiem Jezus. Z lewej strony dwa malowidła: 1) św. Franciszek, 2) św. Jerzy. Z prawej dwa inne: 1) św. Wiktor, 2) św. Brygida.

Tryptyk ten nosił niegdyś nazwę ołtarza N. Panny Marji *(Marienaltar)* i do roku 1525 zdobił kościół OO. Dominikanów w Rewlu. Najnowsze źródła wykazują, że fundowało go trzydziestu młodych mieszczan rewelskich z możnego stowarzyszenia „Czarnogłowców rewelskich", w którego skarbcu ten utwór artystyczny dotąd się przechowuje.

Liczne, charakterystyczne postyci świętych w kościele po-karmelickim w okręgu Karmel na wyspie Ozylji (Oesel), wykonane w roku 1407, a do dni naszych najdoskonalej przechowane — dowodzą niemniej dosadnie, jakie skarby średniowiecznej sztuki rzeźbiarskiej przepełniały niegdyś wszystkie świątynie nadbałtyckie.

Na wspaniałym tryptyku z dawnego klasztoru Dominikanów w Rewlu, stanowiącym obecnie własność muzeum rewelskiego, zniszczył przed laty piorun wszystkie malowidła, nie uszkodziwszy wszelako na tym cennym zabytku przecudownych rzeźb jego.

Niemniej miłe wrażenie sprawiają liczne postaci wyrzeźbione w środkowej części wielkiego tryptyku, przechowanego dotąd w kościele św. Ducha w Rewlu, a pochodzącego z roku 1483 wyraźnie na nim oznaczonego; malowidła zaś tego ołtarza są z roku 1484, gdyż przed dziesięcioma laty odnaleziono w rewelskiem archiwum miejskiem notatę tej treści: *de tafel gemaket tom hylgen güste von Berent Notken 1484 mandages vor Himmelsfahrt.* Berent Notken, jak wiadomo, był jednym z mistrzów słynnej szkoły van Dycka i on to wykonał do tego szafiastego ołtarza 6 malowideł na drzewie *(tafel)* z życia Chrystusa, św. Anny, św. Elżbiety, św. Olawa i św. Wiktora, umieszczonych na pobocznych skrzydłach wspaniałego tryptyku, którego część środkowa z kunsztownej rzeźby złożona przedstawia zesłanie Ducha świętego.

Powszechnie jest znanym słynny *Todtentanz* (taniec śmierci), ciekawie oglądany przez wszystkich podróżników w Lubece, w kościele N. P. Marji. O istnieniu zaś podobnegoż dzieła w Rewlu, w kościele św. Mikołaja, nawet w sąsiednich prowincjach zaledwie rzadko kto cośkolwiek zasłyszał, lubo obecnie nie ulega już wątpliwości, że *Todtentanz* rewelski, niemniej jest cennym od podziwianego ogólnie w Lubece, a prawdopodobnie tejże samej, co tamten, sięga epoki.

Przytoczone powyżej zabytki nadbałtyckie są to dzieła sztuki w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Że zaś nie cześć ludzka lub chwalebne usiłowania znawców, lecz sam tylko przypadek uchronił one od fanatyczno-barbarzyńskiego obrazoburstwa, spowodowanego przez smutne nad wszelki wyraz ruchy pseudo-religijne, które niegdyś srożyły się nad Bałtykiem, jako i w dawnem cesarstwie niemieckiem*) — musimy przypuścić, że i wiele innych dzieł sztuki religijnej w tym kraju wysoką miało wartość artystyczną.

Nad szczątkami innych zabytków z wieku XIII., mianowicie gmachów świeckich (pochodzących przeważnie z wieków późniejszych), niepodobna zastanawiać się w tak krótkim zarysie. Ograniczymy się przeto w następującym rozdziale na dawnych zamkach obronnych, które, jak wiadomo, w dziejach nadbałtyckich posiadały mniej więcej doniosłe znaczenie.

Dokończenie nastąpi.

*) O tychto ruchach pseudo-religijnych, w których Bóg był pozorem, interesa ziemskie przyczyną, powiada proroczo Józef Szujski: „Doczeka się i ta reformacja swojego Taine'a, który jej porachuje wszystkie zrujnowane kościoły, dzieła sztuki i wiedzy ludzkiej, wszystkie akta barbarzyństwa i orgje rozpusty, które zakrywano dotychczas wygodnym płaszczem postępu" (Józef Szujski. „Odrodzenie i reformacja", III, 83). Doczekała istotnie niemiecka reformacja swego Taine'a w Jansenie, którego pomnikowe dzieło „Geschichte des deutschen Volks" powszechnie dziś jest znane.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

W salonach zaczęło się ożywiać. Wojskowe galowe mundury, uniformy ministerjalne i dworskie, wyższe duchowieństwo w kryzach i orderach, urzędnicy gminni, asesorowie sądu i trybunału, dwóch czy trzech ministrów i kilku ambitnych adwokatów, znajdujących się na pierwszym stopniu swej karjery.

Falck-Olsen wystąpił w swym nowym uniformie „żółtego korpusu“.

— Posłałem szampana przez kuchnię — szepnął do pani Bennechen, ściskając ją za rękę.

Potem obejrzał się pilnie po salonach, pytał na prawo i na lewo, czy mu kto nie może powiedzieć, kiedy się ukaże minister Bennechen; stanął nareszcie przy szambelanie Delphinie, który zaczął sypać komplementami z powodu jego uniformu.

— Zupełnie jak oficer szwedzki — zapewniał szambelan.

Falck-Olsen zabrzęczał pałaszem i ostrogami i kręcić się zaczął przed lustrem.

— Zresztą możesz pan wierzyć, panie szambelanie, znalazłem się w kłopocie z powodu konia. Mam mianowicie karego, widzisz pan, jestto właściwie koń powozowy, a potem mam bułaną klacz, doskonałe zwierzę. Żebyś pan widział, co to za maść, a gładka i okrągła, jak kluska; kupiłem ją od jakiegoś handlarza koni z zachodu. Ale teraz widziesz pan, teraz nieszczęście, jest trochę mała...

— Napeleon jeździł zawsze na małych koniach — rzekł Delphin poważnie.

— Et, naprawdę? — zawołał Fack-Olsen uradowany — a pułkownik Grobs zaklinał się, że klacz bułana jest za dobrą do żółtego korpusu.

— Bierzesz pan zatem bułaną klacz? — zapytał Delphin niezmiernie poważnie.

— Biorę klacz bułaną! — odparł Falck-Olsen stanowczo.

Pomiędzy ostatnimi, którzy przyszli, był sędzia Hierth z zachodu. Przed niedawnym czasem przybył do miasta, a pogłoska kursowała, że ma zastąpić starego Falbego, który ustąpił, gdy osięgnął nawet dla norweskiego ministra dojrzały wiek: 82 lat.

Sędzia wyraził radość, że spotkał Delphina, który w dawniejszych czasach był jego pełnomocnikiem, a szambelan oprowadzał go i przedstawił kilku wpływowym osobistościom. Upłynęło już wiele lat, jak sędzia Hierth był w stolicy, tak, że trzeba się było witać z wielu nowymi ludźmi.

Tymczasem zorjentował się szybko, gdyż były to po większej części stare, napół niemieckie nazwiska urzędników z czasów duńskich, które powracały, podczas gdy urzędy według jakiegoś mistycznego prawa spadkowego zdawały się pozostawać w rodzinie. I nietylko nazwisko ojca i urząd zdawali się odziedziczać ci panowie; nawet w ich zewnętrznym wyglądzie zatrzymał się zakrój, który przypominał Fryderyka VII.: regularne, ładnie ukształtowane profile, małe, suche głowy, sztywne karki, i gęstemi, krótko przystrzyżonemi bokobrodami otoczone twarze, jakby sfałdowane skondenzowaną, niekłamaną dyskrecją.

Małe grupki, jak Delphin zamierzał, potworzyły się w rogach i oknach; w środku pokoju chodzili panowie po dwóch i rozmawiali pocichu, podczas gdy wielka część stała około stołu i jadła, albo też z talerzami wchodziła do salonu.

Około wysokiego szczupłego jegomościa z długiemi. siwawemi włosami, zebrała się wielka grupa. Był to norweski rzeźbiarz, który swą pracownię miał w Sztokholmie. Przybył dzień przedtem do Chrystjanji, aby pod wrażeniem obecności króla rozbudzić interes dla pomnika narodowego, którego projekt miał już gotów.

Była to unja w jednej grupie, która według planu stanąć miała przed gmachem storthingu. Artysta miał w kieszeni szkic ołówkowy, który pokazywał.

Zajęcie się i podziw występowały na jaw bezwzględnie; wszyscy byli dostatecznie obeznani ze stosunkami, że miejsce w komitecie znaczy to samo, co wielki krzyż.

Szkic przedstawiał Szwecję, w postaci siedzącej kobiety, która jedną ręką opiera się na mieczu, a drugą kładzie na ramieniu chłopca, który obok niej stoi.

Artysta opowiadał sam, że według pierwotnego projektu chłopiec miał siedzieć na kolanach siedzącej postaci; ale musiał mieć wzgląd na to, iż Norwegowie są bardzo drażliwi i postawił go obok, aby każdy mógł widzieć, że obie figury są „równorzędne“. Z tego samego powodu dał chłopcu olbrzymi hełm, który mu spadał poza uszy, a ogromny miecz opierał się na jego ramieniu; miało to napół humorystycznie wyrażać, iż ten mały zuch już umie kąsać dokoła siebie.

Na wszystkie bezpośrednie uwagi i propozycje odpowiadał tymczasem artysta, który był zręcznym dworakiem, iż minister Bennechen był tak uprzejmym, że podjął się utworzenia komitetu.

Szambelan Delphin oddał sędziego Hiertha w opiekę jakiemuś wybitnemu duchownemu ze stolicy. Obydwaj panowie, którzy się nie znali, mówili bardzo ostrożnie o różnicy między miastem a prowincją w ogóle.

Po kilku obojętnych słowach zaczął sędzia:

— Dziwi mnie tak często, jakie przekręcone i źlę zrozumiane zdania słyszy się teraz o naszym ludzie. Dla człowieka takiego jak ja, jestto szczególnie dziwacznem; urzędnik na mojem stanowisku więcej niż każdy inny w ludzie i z ludem żyje; codzienne sprawy każą mi się ustawicznie stykać z ludem. Widzę chłopa w jego smutku i w jego radości, jego dobre strony, zarówno jak i złe...

Tutaj mu przerwał duchowny szybko:

— To tak jakbyś pan mi z serca wyrwał, panie sędzio! Ja sam byłem przecież przeszło pięć lat kaznodzieją w gminie wiejskiej i mogę powiedzieć — nie chełpiąc się bynajmniej, ale sądzę, że mogę powiedzieć — iż niewielu kaznodziejów żyło tak jak ja, jakby w ludzie i z ludem. Ale właśnie dlatego wydają mi się te współczesne, górnolotne pochwały dla chłopa...

— Tak, wszak prawda? — wybuchnął sędzia radośnie — to pożałowania godne przecenianie ludu jest w gruncie rzeczy niczem innem jak tylko maską ukrytej ambicji...

— I niewiary... — dodał pastor.

Obydwaj panowie rozumieli się wzajemnie i prowadzili dalej rozmowę w poufnym, stłumionym szepcie.

Redaktor Mortensen przyszedł pózno. Był to jeden z tych nielicznych panów, którzy nie mieli żadnej dekoracji. Ale w spokojnym sposobie witania, jakim pozdrawiał na wszystkie strony albo tego lub owego poklepał po ramieniu, można było widzieć, że był mężczyzną, stojącym na silnych nogach.

Rzeczywiście w ostatnich latach stał się zupełnie innym, gdy objął redakcję „*Prawdziwego Przyjaciela Ludu*". Nie było już więcej mowy o żółtej jak ogień koszuli; Redaktor był elegancko ubrany i występował z wstrzemięźliwą godnością, która tak przystoi prasie.

Delphin patrzył na niego bystro i przeczuwał, że redaktor miał tajemną schadzkę z ministrem.

Tak było. Minister przemawiał do niego trochę gniewnie o historji z dokumentami w chaosie. Mortensen jednak pozwolił sobie przerwać krótko:

— Ten sam Mo, panie ministrze, zaczyna być trochę niewygodnym. Łazi i opowiada tajemnicze historje o jakiejś pani Gluncke, która...

— Hm — odparł minister — masz pan słuszność; już od dawna jestem z niego niezadowolony; zaczyna dziecinieć, niestety...

Minister zmienił natychmiast ton i gdy Mortensen wyszedł z biura, promieniała jego blada, tłusta twarz.

Promień tryumfu spoczywał jeszcze na niej, gdy zbliżył się do Delphina i rzekł:

— Czy pan naczelnik będzie łaskaw przedstawić mnie sędziemu Hierthowi?

— Nie — odparł szambelan sucho i poprawił sobie przed lustrem order Wazy.

Mortensen zagryzł wargi.

— Miałem pana wyraźnie o to prosić z polecenia pana ministra.

Delphin wzruszył ramionami i zaprowadził Mortensena do sędziego.

— Panie sędzio Hierth! Mam rozkaz przedstawić panu kancelistę Mortensena.

Odwrócił się i poszedł do pokoju pani Bennechen; szukał Hildy wszędzie, nie mógł jej jednak nigdzie znaleść.

Mortensen przysiągł w cichości gorzką zemstę. Gdy jednakowoż w kilku słowach wyjaśnił, kim właściwie jest, rozjaśniła się twarz sędziego. Rozmawiali przez chwilę i Mortensen wyciągnął notatkę, aby zanotować sobie niektóre szczegóły biograficzne, które mu podał sędzia. Rozmowa przeszła potem na zwykłe sprawy codzienne, a sędzia z okazji ciężkich czasów wyraził zarówno swoje oburzenie jak troskę.

Redaktor odparł uspakająco:

— Dopóki kraj nasz posiada taki stan urzędniczy jak nasz...

— Tak, na pastorów i sędziów możemy liczyć bezwarunkowo — rzekł sędzia, starając się tak wyrzucić ręką, jak to widział u Bennechena.

— A z mężami przy sterze państwa, jak minister Bennechen... Oto on! co to za człowiek! Taki elegancki a jednak tak imponujący. Wszak prawda, panie sędzio, ma przecież uderzające podobieństwo z Goethem?

— Uderzające, bardzo uderzające... — szeptał sędzia.

Minister Bennechen wszedł przez małe, ukryte, portjerą przysłonięte drzwi i stanął nagle wśród gości, zanim go jeszcze który z nich dobrze zauważył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Wybór dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej wyszedł w 6. tomach nakładem Czytelni polskiej.

Gamaston, znany nowelista, napisał farsę p. t. „Wyprawa po złote runo", którą onegdaj wystawiono w Warszawie po raz pierwszy, na scenie „Wodewilu".

W Londynie zmarł nagle malarz Burne Jones, w 65. roku życia. Po odbyciu nauk i studjów literackich w Oxfordzie, poświęcił się malarstwu. Pierwsze jego obrazy wystawione były w Water-Colour-Society. Stylem swym malowania smętnych Ofelij w staroświeckich szatach, wywarł wpływ wielki na szkołę angielską.

O grze panny Czaplińskiej, artystki teatru lwowskiego występującej obecnie gościnnie na deskach teatru „Rozmaitości", wyrażają się dzienniki warszawskie z wielkiem uznaniem.

Józef Kotarbiński wygłosił w czwartek w Związku naukowo-literackim we Lwowie, odczyt „Pan Tadeusz jako epos".

„Hołota" czteroaktowa sztuka F Dominika, wystawiona przed kilku dniami w „Wodewilu" warszawskim, doznała bardzo zimnego przyjęcia zarówno ze strony publiczności jak i krytyki.

Głośna aktorka Eleonora Duse zachorowała obłożnie w Kolonii na zapalenie opłucny.

W Londynie, w Covent-Garden, odbył się wspaniały cykl oper Wagnerowskich. Z udziałem Reszków, dano: „Tannhäusera", „Lohengrina", „Meistersingerów", „Tristana" i „Sygfrieda".

P. Antoni Orłowski poeta i humorysta, złożył dyrekcji teatrów warszawskich krotochwilę szlachecką (na tle XVII. w. osnutą) p. t. „Protest strukczaszego".